

Kolce w kwiatach



Andrzej W. Sawicki

RW2010

ANDRZEJ W. SAWICKI
KOLCE W KWIATACH

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2016
Redakcja i korekta zespół RW2010
Redakcja techniczna zespół RW2010
Copyright © Andrzej W. Sawicki 2016
Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2016
Zdjęcia na okładce © fotolia / Fernando Cortés
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2016
e-wydanie II

ISBN 978-83-7949-179-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Spis treści

Kolce w kwiatach.....	4
Niezwykły przypadek Martyny Gewalt.....	51
Jak wiatr na stepie.....	72
Widok spod kurhanu.....	120
Czekając, aż skończy się wszystko.....	162
Przy świetle księżyca.....	212
Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje.....	252

Kolce w kwiatach

Powietrze było gęste i lepkie, choć zegar na wieży dworca kolei wiedeńskiej nie wskazywał jeszcze ósmej rano. Sierpniowe słońce bezlitośnie prażyło warszawskie ulice, zalewając miasto oślepiającym blaskiem. Po bruku Elektorальной turkotały ospale koła dorożek i wozów handlarzy zmierzających na plac Zielony. Przechodnie zdawali się poruszać w rozgrzanym powietrzu jakby w zwolnionym tempie. Tylko jeden młodzieniec szedł energicznym krokiem, pogwizdując przy tym wesoło. Skręcił w imponującą bramę Szpitala Ducha Świętego i wszedł na jego wysypany białym makadamem dziedziniec. Z dumą popatrzył na jasne, błyszczące w słońcu ściany neorenesansowego pałacyku z pawilonami oskrzydłającymi przestronny plac. Najnowocześniejszy szpital w mieście lśnił nowością, jego widok krzepił i dodawał pewności.

Młody doktor Stanisław Loewenhardt dotarł do schodów i już miał wejść do budynku, kiedy przez bramę, ze zgrzytem koła trącego o kamienny ogranicznik, wjechała pędem kariolka – zgrabna dwukółka. Woźnica stał wyprostowany, trzymał lejce jedną ręką, a drugą unosił nad głowę i machał.

– Hej, człowieku! – wrzasnął do Stanisława. – Trzeba lekarza, szybko!

– Co się stało? – Loewenhardt zauważył, że stangret to policjant w charakterystycznych niebieskich spodniach, ciemnej koszuli i czapce z carskim orłem.

– Ranny grodowej, potrzebna mu pomoc! – Powóz zatrzymał się przed doktorem.

– Ja jestem lekarzem – po wahaniu trwającym mgnienie oka przyznał Stanisław.

– Wskakuj pan! – Policjant wyciągnął rękę i pomógł doktorowi wspiąć się na dwukólkę.

Trzasnął lejcami, konie ruszyły gwałtownie, wzbijając tumany pyłu na wysuszonym jak pieprz dziedzińcu. Po chwili galopowali Elektorálną w kierunku Marszałkowskiej. Stanisław opadł na siedzenie przeznaczone dla dwóch pasażerów i kurczowo złapał się podłokietnika. Nie zdążył nawet zebrać myśli, nie mówiąc o torbie lekarskiej, która leżała w gabinecie. Miał udzielić rannemu pomocy gołymi rękoma?

Policjant klął wściekle i obrzucał wyzwiskami mijane powozy, a właściwie ich woźniców. Wolną ręką bez przerwy wymachiwał i groził, wymijał wlekące się dorożki, zmuszał jadące z naprzeciwka pojazdy do zjechania na chodnik. Koła kariolki załomotały na niedawno położonym bruku Królewskiej; niespodziewanie policjant ściągnął wodze i zatrzymał powóz przy parkanie Ogrodu Saskiego. Cała galopada trwała może ze trzy minuty.

W furcie, za którą znajdowała się jedna z rogatek ogrodów, stali dwaj mundurowi pilnujący wejścia przed grupką gapiów. Wśród ciekawskich dominowali klienci i przekupnie z pobliskiego targowiska na placu Zielonym. Loewenhardt został wprowadzony, a właściwie zaciągnięty na teren parku przez grodowoja, który go przywiózł. Znalazł się między drzewami w przynoszącym wytchnienie cieniu; jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki policjant przeniósł go z wielkiego miasta do sielankowej i cichej krainy. Stukot końskich kopyt i terkotanie kół powozów, codzienny gwar miasta – docierały tu stłumione przez kurtynę zieleni.

Stanisław został wepchnięty w tłumek policjantów, nim zdążył się rozejrzeć. Niemal wpadł w ramiona jedyne w tym gronie mężczyzny ubranego po cywilnemu: w białą wykrochmaloną koszulę o podwiniętych

rękawach. Wąsaty jegomość, o elegancko, na rosyjską modłę przyciętych baczkach i niemal łysej głowie, spiorunował lekarza wzrokiem.

– Taki młody? – mruknął z niezadowoleniem.

– Taki się nawinał, panie komisarzu – zameldował grodowej i rozłożył ręce.

– Dobra, chodź pan tu, panie doktor! – Oficer złapał Stanisława pod ramię i niecierpliwym gestem rozgonił grupę stojkowych.

Loewenhardt niespodziewanie trafił w sam środek koszmaru. Przed nim roztaczał się las jak ze złego snu. Pomiedzy parkowymi kasztanami i klonami z ziemi wyrastały dziwaczne bulwiaste twory przypominające przerośnięte, amorficzne grzyby. Groteskowe rośliny rozgałęziały się w powykrzywiane konary pokryte długimi, czarnymi kolcami. Agresywnie rozczapierzone nieodparcie kojarzyły się z wyciągniętymi ramionami zastygłych w bezruchu krwiożerczych bestii. Stanisław zorientował się, że grzyby te są niesamowicie zdeformowanymi drzewami – pokrywała je popękana kora, z której ciekła gęsta, lepka ciecz. W płataninie konarów dostrzegł bulwiastą narośl o niepokojących kształtach. Dopiero kiedy zmrużył oczy i zogniskował wzrok, dostrzegł, że to fragment ludzkiego ciała.

Owinięty kolczastymi gałęziami, jakiś sążeń nad ziemią, głową w dół wisiał mężczyzna w policyjnym mundurze, przerwany w połowie. Jego nogi i biodra tkwiły dobre kilka kroków dalej – wrośnięte w wykrzywiony w literę S pień. Kolejny trup klęczał jak do modlitwy, owinięty ciasno gałęziami, których długie na stopę kolce tkwiły zagłębione w jego piersi i brzuchu. Po chwili oglądania makabrycznego pobojuwiska Loewenhardt dostrzegł wiszące w konarach strzępy co najmniej jeszcze jednej ofiary, tym razem poszatowanej na niewielkie, trudne do zidentyfikowania kawałki. Ziemia wszędzie wokół była

czarna od soku ciekącego z drzew i krzepnącej krwi zabitych. W powietrzu unosił się nieprzyjemny odór śmierci, posoki, wyprutych wnętrzności. Wielkie muchy, o błyszczących zielenią odwłokach, bzyczały wściekle, krążąc nad szczątkami.

– Widział pan kiedyś coś takiego? – zagaił oficer. – Wygląda to na efekt działania okresowej turbulencji, prawda? Wytworzył nam się tu mały wrzód na rzeczywistości; na szczęście sam pękł. Anomalia powstała nocą, mój patrol wlaźł w nią pewnie przez głupotę, kiedy była jeszcze aktywna, i oczywiście marnie skończył. Tyle razy powtarzałem, że jeśli zobaczą coś takiego, mają się nie zbliżać. Ech, w Warszawie mamy pierwszy taki przypadek od pięciu lat, może dlatego nie zachowali ostrożności.

– Na co był panu lekarz, komisarzu?

Stanisław domyślił się już, że rozmawia z przystawem, dowódcą cyrkułu, czyli jednego z dziesięciu okręgów, na które podzielona była Warszawa. Przynajmniej tak wynikało z tytułowania go przez stójkowych „komisarzem”. Wysoki rangą oficer policji był Polakiem, co zdarzało się coraz rzadziej. Odkąd w Królestwie zrobiło się gorąco, Rosjanie stopniowo zastępowali władze policyjne przekwalifikowanymi oficerami żandarmerii i wojska.

Komisarz skinął na doktora i poprowadził go ostrożnie między kolczaste gałęzie. Stanisław poczuł się nieswojo, wchodząc w serce obszaru dotkniętego turbulencją rzeczywistości. Właściwie ruszył za policjantem po krótkiej walce ze sobą; włożenie w miejsca skażone czynnikiem mutatio nie należało do najlepszych pomysłów, nawet jeśli aktywność wynaturzenia była krótkotrwała i już ustała. Nie dość, że groziło to niebezpieczeństwem, to jeszcze prawo surowo zakazywało podobnej brawury. Carskie służby zazdrośnie strzegły wszystkiego, co miało związek z turbulencjami; zgodnie z prawem po

pojawieniu się wypaczonego obszaru należało natychmiast powiadomić wojsko. Soldaci izolowali anomalię i wzywali funkcjonariuszy z otoczonego ponurą sławą Urzędu Przemian. Nikt poza nimi nie miał prawa zbliżyć się do zdeformowanego fragmentu rzeczywistości.

– Proszę spojrzeć... – Oficer kucnął przy pniu jednego z drzew. – To stójkowy Artem. Niezbyt bystry chłopak, przyjąłem go na służbę tylko dlatego, że rodzina nalegała. Chłopak jest moim bratankiem. Nie chcę, by zabrali go ci dranie z Urzędu Przemian. Wiadomo, jak wtedy skończy: wywiozą go do twierdzy w Kurlandii, gdzie badają wszystko związane z cholerstwem roznoszącym mutatio, i wszelki ślad po nim zaginie.

Stanisław pochylił się obok komisarza. Grodowej Artem siedział na ziemi przyszpilony do bulwiastego pnia dwoma wielkimi kolcami. Czarne szpikulce wyrastały z konaru, który obejmował go w pasie, jakby drzewo chciało przytulić młodego policjanta. Głowa chłopaka opadła na pierś, ale na trupio sinych wargach pojawiały się bąbelki różowej śliny. Stanisław położył dłoń na jego tętnicy szyjnej; wyczuwał równomierny, choć niezbyt mocny puls.

– Kiedy przybyłem na miejsce pół godziny temu, chłopak był jeszcze przytomny – odezwał się komisarz. – Posłałem ludzi po piły, spróbujemy odciąć te kolce. Da się chłopaka przewieźć do szpitala i uratować?

Loewenhardt podrapał się nerwowo po głowie. Prystaw chciał zabrać młodzieńca, zanim pojawią się żołdaci. Pewnie dlatego zwlekał z powiadomieniem wojska, od którego – przez sąsiedztwo Pałacu Saskiego – w okolicy aż się roило. Było kwestią minut, kiedy na miejscu zjawi się jakiś przypadkowy ruski patrol i przegoni polską policję. Wtedy chłopak na pewno przepadnie, nawet gdyby był na tyle silny, żeby przeżyć.

– Wie pan, co grozi za ukrywanie osoby skażonej czynnikiem mutatio?
– spytał komisarza.

– Wiem, że wiele pan zaryzykuje, udzielając mu pomocy. – Prystaw z powagą skinął głową. – Karą jest śmierć, bezapelacyjnie. Proszę jednak, nie, błagam! Niech pan okaże serce. Zrobię wszystko co w mojej mocy, by to się nie wydało. Niech pan choć spróbuje mu pomóc, zorganizuje dyskretną salę w szpitalu, przeprowadzi operację. Koszta nie grają roli.

Stanisław patrzył na konającego chłopaka, powoli duszącego się krwią z przebitego kolcem płuca. Bardziej przydałaby mu się modlitwa, medycyna nie mogła już wiele zdziałać.

– Odwdzięczę się. Widzę, że rany są bardzo ciężkie, zdaję sobie sprawę, że wygląda to beznadziejnie, ale niech pan choć spróbuje. – Prystawowi dygotała broda. Stanisław domyślił się, że ten umierający mało bystry grodowej jest ukochanym bratankiem komisarza. – Jeśli chłopak skona, przynajmniej ocalimy jego ciało, które będzie można po bożemu pochować. Mamy mało czasu, proszę.

Stanisław skinął głową.

– Proponuję odpiłować konar, zbyt ciasno przylega do ciała, by dało się odciąć kolce – powiedział. – Przewieziemy chłopca do szpitala, tam usuniemy oba naraz.

– Janek! Szybciej z tą piłą, do kurwy nędzy! – ryknął prystaw. – Nazywam się Alojzy Krusz. – Niespodziewanie wyciągnął rękę do lekarza.

Stanisław przedstawił się grzecznie, po czym skoncentrował na rannym. Oddech Artema był urywany i krótki, co mogło świadczyć o tym, że przebite płuco już się zapadło lub wypełnia je krew. Kiedy wyjmą kolce, nastąpi gwałtowny krwotok, który może błyskawicznie zabić młodzieńca. Nie wiadomo

też, jak poważne obrażenia spowodował drugi kolec. Jeśli przebił otrzewną, i tak wszystko było w rękach Boga.

Po paru chwilach pojawił się policjant z piłą. Stanisław trzymał rannego, komisarz usztywniał konar, a grodowej go piłował. Ostrze gładko cięło gałąź, z której obficie popłynęła czarna żywica. Zanim piła dotarła do połowy, drzewo zwiotczało w rękach komisarza, jakby było błyskawicznie więdnącym kwiatem. Zmiękły też kolce, w dodatku zaczęły się kurczyć. Stanisław poczuł falę paniki, gdy z ran Artema obficie popłynęła krew. Chłopak napiął się, wierzgnął z bólu. Pewnym ruchem Loewenhardt wyciągnął skręcające się kolce i odepchnął całą gałąź na bok.

– Potrzebuję szmat do tamowania krwotoku! Szybko! – wydarł się na policjantów.

Krusz bez wahania zerwał z grzbietu koszulę, zostając w samych spodniach. Stanisław z wprawą podarł ją błyskawicznie na długie pasy. Ich zwitki oburącz przycisnął do dziur w brzuchu i piersi chłopaka. Artem zaczął się krztusić krwią. Policjanci podnieśli go i biegiem rzucili się do wyjścia z ogrodów. Stanisław cały czas przyciskał opatrunki do ran, nawet kiedy rannego układano w dwukółce. Powozem znów kierował pełen brawury grodowej, ale jego pośpiech nie zdał się na wiele. Stójkowy Artem zmarł, zanim dojechali do szpitala.

To był pierwszy dzień Stanisława jako dyżurnego lekarza, podwładnego i asystenta profesora Blocha. Młody lekarz nie zdążył się jeszcze dobrze zdomowić w najnowocześniejszym warszawskim szpitalu, w którym rozpoczął praktykę, a stary medyk od razu rzucił go na głęboką wodę. Co prawda

Stanisław miał samodzielnie wykonywać proste zabiegi na pacjentach wcześniej zbadanych przez profesora, ale i tak był bardzo przejęty. Nie przeszkadzało mu, że będzie odwałał brudną robotę za swojego przełożonego, przecinał ropiejące wrzody i robił lewatywy. Liczyło się dlań to, że wreszcie stał się prawdziwym lekarzem. Po burzliwych studiach, wpraw na Akademii Medyko-Chirurgicznej w Warszawie, a potem – kiedy po masakrze na placu Zamkowym wyjechał z Królestwa – na Akademii Berlińskiej, mógł leczyć ludzi.

Nie spodziewał się jednak, że pierwszy dzień będzie tak emocjonujący. Sierpniowy poranek 1862 roku miał być spokojnym początkiem kariery młodego doktora. A tu cudem nie spóźnił się na pierwszy dyżur. Umył w misce ręce, ze zgrozą obejrzał mankiety koszuli i zabryzgane krwią spodnie. Całe szczęście, że ubrał się na czarno. Kolor podpatrzył u berlińskich chirurgów, którzy do operacji zakładali czarne surduty, by nie było na nich widać plam krwi. Niemiecki pragmatyzm po raz kolejny górą. Stanisław uspokajał się powoli, wiedział, że musi ochłonąć. Nie tak łatwo było uzyskać tę posadę, więc powinien teraz pokazać się z jak najlepszej strony. Śmierć pacjenta to codzienność w praktyce lekarza i nie miało sensu zbytnio brać ją sobie do serca.

Usiadł za biurkiem i sięgnął do papierów zostawionych przez Blocha. Pacjenci pojawią się za chwilę, najwyższa zatem pora poznać ich kartoteki. Jaki przypadek będzie pierwszy? Spojrzał w kartę leżącą na wierzchu stosu.

Wiera Stiepanowna Morozow. Cholera, Rosjanka! Pewnie żona jakiegoś carskiego urzędnika, którzy ściągali do miasta razem z całymi rodzinami. Trudno, może być Rosjanka. Jako lekarz nie powinien zwracać uwagi na narodowość pacjenta. Chora cierpiała na chroniczne, migrenowe bóle głowy i uderzenia gorąca. Ból pulsował zwykle pod skroniami, sprawiając wrażenie, jakby coś chciało rozsadzić czaszkę pacjentki, często też promieniował z części

potylicznej. Jediną metodą leczenia było puszczenie krwi i podawanie wyciągu z miłorzębu.

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i w asyście woźnego do środka wkroczyła wysoka kobieta. Stanisław rzucił kartę pacjenta na biurko, jakby przyłapano go na czymś niestosownym.

– Taki młody? – po rosyjsku zdziwiła się pacjentka na widok Loewenhardta.

Lekarz zauważył, że jest od niego młodsza. Jeszcze raz zerknął w kartę. Wiera Morozow, lat dwadzieścia cztery. No tak, Rosjance zdaje się, że wszystko jej wolno, nawet przyjść na wizytę godzinę wcześniej.

– Niech będzie, wszystko jedno. – Dziewczyna zdjęła kapelusz i rzuciła go na wieszak. – Ratujcie, panie doktorze, bo już dłużej nie wytrzymam. Całą noc nie zmrużyłam oka, ból jest nie do zniesienia. Proszę puścić mi krew, szybko!

Stanisław z przyjemnością skonstatował, że pierwsza pacjentka była bardzo ładna. Miała owalną, budzącą sympatię twarz, jasne włosy czesała modnie, z przedziałkiem symetrycznie dzielącym głowę i z kokiem, w który wpięła dwie różyczki. Serce lekarza zmiękło w jednej chwili, zawsze miał słabość do urodziwych dam. Bez ceregieli wskazał jej wygodny fotel i zalecił, by odsłoniła ramię. Pani Morozow ubrana była w jasnobeżową suknię, czym zdecydowanie wyróżniała się na ulicy, bo warszawianki od ponad roku nosiły żałobę narodową i wszystkie ubierały się na czarno. Suknia nie miała krynoliny, więc pacjentka mogła w miarę swobodnie usiąść, rękawy jednak były obcisłe na tyle, że – by odsłonić zgięcie ramienia – dziewczyna musiałaby pracowicie odpiąć wszystkie guziki i zsunąć górną część sukni, a może nawet całkiem się z niej wyłuskać.

– Och, mam to w nosie! – warknęła. – Przystaw pan te pasożyty do mojej nogi.

Podkasła suknię i wyciągnęła nogę do Stanisława. Doktor kucnął i ściągnął bucik wykonany z palonej skóry, następnie rozwiązał wstążkę podtrzymującą na wysokości kolana bawełnianą pończochę. Ściągnął ją, odsłaniając smukłą stopę. Kiedy z westchnieniem ulgi Wiera rozparła się wygodnie w fotelu, doktor odnotował w myślach, że jej policzki pokrywały niezdrowe wypieki. Z pakamery przyniósł słój z pijawkami, po czym drewnianymi szczypczykami przyłożył kilka na wysokości kostki i pod kolanem pacjentki. W czasie tej operacji wzrok lekarza, wbrew jego woli, błędził po kształtnej łydce i odsłoniętym częściowo udzie pani Morozow. Pijawki powoli puchły, łapczywie pijąc krew, dziewczyna oddychała spokojniej, głowę odchyliła na oparcie. Zamknęła oczy, zdawało się, że zasnęła. Poruszyła się jednak, kiedy po półgodzinie Stanisław polał pijawki roztworem soli i zaczął jedną po drugiej usuwać z ciała pacjentki.

Gdy skończył i spojrzał na Wierę, ta pochylała się nad nim z uśmiechem. W jednej chwili stała się jeszcze piękniejsza, światło błyszczało w jej blond włosach, cała twarz zdawała się promieniować blaskiem. Loewenhardt zamarł na chwilę, porażony delikatną urodą pacjentki; przełknął ślinę.

– Proponowałbym pani zmienić kurację, Wiero Stiepanowna... – Starał się zmusić do odwrócenia wzroku, kiedy dziewczyna zakładała pończochę.
– Upuszczanie krwi jest przestarzałe, stopniowo się od niego odchodzi, bo zbyt osłabia organizm.

– Co tylko pan zaproponuje, byle te bóle mi tak nie dokuczały – zgodziła się posłusznie. – Jeszcze gorsze są uderzenia gorąca, czuję się wtedy, jakby moja krew wrzała.

Zbyt wysokie ciśnienie krwi – Loewenhardt pokiwał w zadumie głową. Współczesna medycyna mogła co najwyżej przynieść ulgę. Na fali uniesienia

i oczarowania urodą pacjentki Stanisław postanowił odprowadzić ją do wyjścia. Przemierzyli oboje szpitalny korytarz i wyszli na dziedziniec. Słońce wspięło się już wysoko na niebo, powietrze zastygło całkiem z gorąca. Dziewczyna założyła kapelusz; wyglądała w nim jeszcze ładniej.

– Jaka ma być ta nowoczesna metoda lecznicza, doktorze?

– Opiera się na zdecydowanej zmianie trybu życia – odparł i utonął w błyszczących niebieskich oczach. – Przede wszystkim musi pani więcej się ruszać, jak najczęściej spacerować, nie wolno jeździć wszędzie powozem. Zalecam jak najdłuższe przebywanie na świeżym powietrzu.

– Trochę o nie trudno w mieście – zauważyła.

Faktycznie, wraz z nadejściem upałów Warszawę spowły trujące miazmaty z gnijących śmietnisk i parujących rynsztoków. Mimo że było to duże miasto, nadal nie miało kanalizacji, a Magazyn Karowy, czyli instytucja zajmująca się wywożeniem nieczystości, działał opieszale, przez co na każdym podwórku i w każdym zaułku zalegały sterty odpadów.

– Mamy w Warszawie piękne parki – zauważył doktor.

– Pozamykane w związku ze stanem wojennym – parsknęła Wiera.

– Przesadam, w niedziele niektóre są otwierane. Coś jeszcze?

– Musi pani zrezygnować z soli w posiłkach i unikać tłustych potraw.

– Z tym nie będzie problemu, mój mąż jest skąpy jak żydowska przekupka.

– Machnęła ręką. – Rzadko jadamy tłuste mięso i słone dania. Co do tych spacerów, to brakuje mi towarzystwa. Dimitri jest wiecznie zajęty, a samotnej kobiecie nie wypada chodzić po mieście, którego zresztą i tak prawie nie zna. Proszę się zastanowić, czy nie byłby pan skłonny poświęcić mi nieco czasu i potowarzyszyć w spacerach. Oczywiście tylko jako medyczny opiekun.

– Oczywiście. – Stanisław się uklonił.

Serce łomotało mu w piersi jak oszalałe. Piękna Rosjanka zaproponowała mu schadzkę? Czy się nie przesłyszał?

Dziewczyna wsiadła do czekającej na dziedzińcu dorożki. Odjeżdżając, pomachała doktorowi i uśmiechnęła się w taki sposób, że omal nie spłonął rumieńcem niczym jakiś młodzieniaszek. Co za dzień! A to był dopiero drugi pacjent!

Mimo wszystko pierwszy dyżur nie należał do udanych. Śmierć młodego policjanta na rękach doktora nie była dobrą wróżbą. Co gorsza, przyjmowanie pacjentów w gabinecie szybko zaczęło nudzić Loewenhardta, za to akcję w parku wspominał często, z dozą zarówno niepokoju, jak i podniecenia. Po kilku dniach przyznał sam przed sobą, że praca zwykłego medyka jednak go nie pociąga, za to czułby się jak ryba w wodzie w roli lekarza do zadań specjalnych, przy ekstremalnych przypadkach. Zaczął się zastanawiać nad przejściem do Szpitala Dzieciątka Jezus, w którym działał jedyny w Warszawie ostry dyżur. Miałby tam pracę pełną mocnych wrażeń i drastyczne przypadki na co dzień.

Na razie przyjmował jednak zwykłych, nudnych pacjentów i wyręczał profesora Blocha w wykonywaniu prostych zabiegów. Najczęściej robił lewatywę i walczył z bólami brzucha u nieszczęśników, którzy cierpieli na dolegliwości gastryczne. Typowe o tej porze roku – zatrucia pokarmowe tradycyjnie latem zbierały śmiertelne żniwo wśród warszawiaków. Szpital napełnił się gorączkującymi pechowcami, którzy konali wykończeni krwawą biegunką. Bloch martwił się, że jeśli upał potrwa dłużej, tylko patrzeć, jak w mieście wybuchnie zaraza.

Urobiony po łokcie młody lekarz, mimo że czuł się potrzebny, i tak marzył o bardziej emocjonującym życiu. Wieczorami, przed godziną policyjną, wymykał się na spotkania „czwórek” – rewolucyjnych komórek organizacji niepodległościowej, do której należał jeszcze w czasach studenckich i w której działalność zaangażował się znowu natychmiast po powrocie do kraju. Okazało się, że „czwórki” stały się podczas jego nieobecności dziesiątkami – ku zachwytowi Loewenhardta organizacja bardzo się rozbudowała. Nielegalne spotkania i przynależność do tajnej struktury zapewniały mu stosowną dawkę mocniejszych wrażeń i choć częściowo zaspokajały żądzę przygód.

Patriotyzm nie przeszkadzał Stanisławowi marzyć o pięknej Rosjance. Jako że był młodym mężczyzną, prócz żądz przygód dręczyła go też zupełnie inna żądza. Kiedy w wolnych chwilach odzywały się w nim zwierzęce instynkty, próbował je zwalczać, pływając do utraty sił w Wiśle lub energicznym krokiem spacerując po mieście. Jak ognia unikał uliczek na Podwalu i w okolicach rynku Nowego Miasta, gdzie tradycyjnie aksamitki i nimfy, jak je pieszczotliwie nazywali zwolennicy, oraz murwy i małpy, jak z kolei nazywali je przeciwnicy, kupczyły swoim ciałem. Widok tanich dziwek kojarzył się Stanisławowi głównie ze wstydliwymi chorobami, ale i tak nie chciał niepotrzebnie prowokować swoich niezaspokojonych chuci.

Dwa tygodnie po wydarzeniach w parku w jego gabinecie zjawił się publiczny posłaniec z liścikiem. Kiedy po rozłożeniu kartki Stanisław zobaczył cyrylicę starannie kaligrafowaną łagodnymi, okrągłymi bukwami, serce od razu podskoczyło mu do gardła. Wiera Morozow przypominała o swojej osobie i obietnicy danej przez doktora. Proponowała, by jeszcze dziś po południu stawił się w jej mieszkaniu na Złotej i zabrał ją na przechadzkę po mieście. Loewenhardt natychmiast pognał do profesora i drżącym głosem zażądał, by

zastąpił go któryś z młodych lekarzy odbywających praktyki. Pędem udał się do domu i mimo upału wbił się w najlepszy, dwurzędowy surdut; wcześniej nie żałował też wody kolońskiej. Szybkim krokiem przemaszerował przez miasto, zawahał się chwilę przed wejściem do bramy kamienicy, ale kiedy pojawił się dozorca, rzucił mu dziesiątaka i kazał się zaprowadzić pod stosowne drzwi. Wszedł do mieszkania państwa Morozow na pierwszym piętrze kamienicy, wpuszczony przez gospozię, pulchną kobietę o zaczerwienionej z otyłości twarzy. Wiera już na niego czekała, ubrana w niebieską suknię. Kok z tyłu głowy i kapelusz ustrajały pęczki niezabudek wspaniale korespondujące z barwą jej oczu.

Poszli w kierunku Nowego Światu, potem na wysokości Krakowskiego Przedmieścia skręcili w stronę Wisły, aż wreszcie dotarli na brzeg rzeki, gdzie z bliska obejrzelni budujący się most Aleksandryjski, pierwszą stałą przeprawę przez Wisłę. Stanisław, jękając się i z wrażeń kalecząc rosyjski, próbował zabawić damę rozmową, grzecznie też wypytywał ją o stan zdrowia. Oświadczyła, że od kilku dni dolegliwości zupełnie jej nie dokuczały, zgodnie z zaleceniem zrezygnowała z soli i starała się przebywać jak najdłużej poza domem. Jej mąż Dimitri nie był tym zachwycony, oczekiwał, że żona będzie cierpliwie na niego czekać, zajmując się grą na fortepianie, robótkami ręcznymi i doglądaniem ich gniazdka. Za jedyne stosowne rozrywki dla kobiety uważał jeszcze naukę francuskiego i lekturę Biblii. Nie wyobrażał sobie, że mogłaby, ot tak, bezcelowo włóczyć się po mieście. Nawet na targ i do składów towarowych musiała wysyłać gospozię, bo według niego robienie zakupów też uwłaczało damie. Nie zgodził się też, by spacerowała w towarzystwie lekarza. Z chęcią zamknąłby ją w złotej klatce i używał tylko do pokazywania na balach. Odkąd

jednak przyjechali do Warszawy, nie uczestniczyli w ani jednym, bo te się zwyczajnie nie odbywały w związku ze stanem wojennym.

W ten sposób nieco pokrętnie i nie wprost wyjawiała mu, że spotkała się z nim wbrew woli męża i właściwie potajemnie. Stanisław aż zadrżał z podniecenia. Wiera budziła w nim coraz intensywniejsze uczucia. Domyślał się, że Dimitri to stary satrapa, pewnie jakiś wiekowy urzędnik, który wziął sobie młodziutką żonę jako ozdobę, bo tak wypadało. Biedna dziewczyna cierpiała więc z powodu choroby, ale i przez to, że tkwiła uwięziona w nieudanym związku. W Warszawie nie miała przyjaciół ani rodziny i usychała w samotności, zamknięta w murach kamienicy. Może inna kobieta pogrążyłaby się w rozpacz i zwiędła u boku starca, ale nie ona. Pełna życia Wiera nie poddała się. Spacerzy zatem nie były dla niej wyłącznie terapią, lecz także czymś w rodzaju przygody, kuszeniem losu. Może młody lekarz wpadł jej w oko, może wyczuła w nim bratnią duszę? Stanisław z każdą chwilą był o tym coraz bardziej przekonany.

Odprowadził ją do bramy kamienicy, na pożegnanie pozwoliła mu się pocałować w dłoń i uraczyła uśmiechem, dla którego dałby się żywcem obdrzeć ze skóry. Przez następne dni z niecierpliwością czekał na kolejne wezwanie, co chwila zerkał przez okno gabinetu i nasłuchiwał kroków na korytarzu z nadzieją, że zbliża się posłaniec. Doczekał się go równo trzy dni po pierwszej schadzce. Pognał na Złotą pod kamienicę Morozowów jak na skrzydłach. Po drodze kupił bukiet białych róż, bo zauważył, że Wiera lubi kwiaty. Rzeczywiście bardzo się ucieszyła. Tego dnia kapelusz miała przyozdobiony pękiem konwalii, a na piersi wpięty biały kwiatusek o ostrych płatkach; gatunek, którego Stanisław nie znał.

Tym razem poszli w przeciwnym kierunku, przez plac Trzech Krzyży w stronę Ujazdowa. Dotarli aż do Doliny Szwajcarskiej w pobliżu zamku Ujazdowskiego. Całą drogę rozmawiali i z każdym krokiem coraz swobodniej. Stanisław otworzył się przed dziewczyną, opowiedział dużo o sobie i słuchał z uwagą tego, co ona miała do powiedzenia. Wiera pochodziła z podmoskiewskiej miejsciny, wychowała się w rodzinie niezbyt zasobnego kupca. Ojciec przez swoje zamiłowanie do kart ciągle tonął w długach. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, by wydać najstarszą córkę za męża, i to za zasobnego mężczyznę, nie wahał się ani chwili i oczywiście nie zapytał Wieri o zdanie. Nic dziwnego, że była tak nieszczęśliwa i zagubiona. Obca w obcym mieście, bez bratniej duszy, bez nikogo bliskiego. Stanisław bez zastanowienia przysiągł jej, że zrobi wszystko, by to zmienić, albowiem całą duszą zapragnął ją uszczęśliwić.

– Jeśli będziesz tego chciała, jestem gotów rzucić wszystko, Wiero Stiepanowna. Możemy uciec, wyjechać za granicę. Mógłbym podjąć praktykę gdzieś w Prusach, świetnie znam niemiecki – mówił, kiedy usiedli na trawie w Dolinie Szwajcarskiej nad brzegiem strumyka.

– Nie bądź taki pochopny – powiedziała. Położyła dłoń na jego ręce i pogłaskała ją kojąco. – Ledwie się poznaliśmy, właściwie nic o mnie nie wiesz...

– Wiem wszystko, co trzeba, Wiero. Ja... Ja cię... – Stanisław znów zaczął się jąkać.

– Ciii... – Położyła palec na jego ustach. – Nie mów czegoś, czego mógłbyś później żałować. Daj nam jeszcze trochę czasu. Nie zapominaj, że jesteś przede wszystkim moim lekarzem, nie wchodź od razu w rolę kochanka. Nie wiem, czy jestem na to gotowa, nie wiem nawet, czy chcę.

– Oczywiście. – Skinął głową, czując, jak rumieniec oblewa mu twarz.

Wiera nie na długo ostudziła jego zapał. Od tego dnia Stanisław nie mógł nawet na chwilę przestać o niej myśleć. Planował wyjazd, całkiem poważnie dumął nad możliwością zorganizowania większej sumy na rozpoczęcie nowego życia. W nocy rozmyślał, czy mógłby zamordować Dimitri Morozowa i jak to zrobić na tyle dyskretnie, by się nie wydało. Trucizna? Potrącenie przez powóz? Jakiś inny pozorowany wypadek? Wtedy dziewczyna stałaby się wolna i mogliby zostać w Polsce.

Wiera Stiepanowna Loewenhardt. Delektował się tymi trzema słowami, a potem dalej snuł plany i układał ich wspólne życie. I czekał niecierpliwie na następną schadzkę. W ciągu kolejnego tygodnia spotkali się dwa razy. Przy drugiej okazji znów zawędrowali nad wodę. Kiedy stali na wiślanej skarpie i patrzyli na parowiec, pracowicie młócający kołem napędowym wodę, Wiera zdjęła ukwiecony kapelusz i oparła głowę o ramię Stanisława. Potem ich usta same na siebie natrafiły i połączyły się w długim pocałunku. Bardzo długo milczeli, trzymając się za ręce. Statek sunął powoli pod prąd, wzbijał dziobem pieniające się fale. Po błękitnym niebie ospale sunęły chmury, słońce zmierzało już ku zachodowi, a nad Wisłą piaskarze nawoływali się, śmiali na całe gardło i klęli radośnie. Stanisław był wtedy najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje

Andrzej W. Sawicki: FURIA BŁĘKINA JAK OGIEŃ

Rok 1863. W Polsce trwają buntownicze walki z wojskami Imperium Rosyjskiego. Drugi dyktator powstania zostaje pokonany i zmuszony do ucieczki, kolejne polskie bandy miażdżone są karzącą carską pięścią. Nadzieja umiera po raz kolejny.

Ale gdzieś w lasach formuje się oddział straceńców złożony z odmieńców o krwi skażonej czynnikiem mutatio. Obdarzeni nadludzkimi mocami desperaci rzucają wyzwanie carskiej potędze. Szpiedzy donoszą, że mutanci zbierają niedobitki rozbitych powstańczych partii i kierują się na Warszawę.

Ruszą do ostatniego, desperackiego boju. Rozniecą ogień, mogący spalić nie tylko carskich wrogów, ale wszystko wokół. Pozwolą porwać się furii, która może zniszczyć nawet ich samych.

SZABLĄ I WĄSEM. ANTOLOGIA OPOWIADAŃ SARMACKICH

Autorzy: Andrzej W. Sawicki, Monika Sokół, Agnieszka Hałas, Stanisław Truchan, Tomasz Kilian, Dawid Juraszek

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ogień i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

„Szablą i wąsem” to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

NIEDOCZEKANIE

antologia opowiadań fantastycznych pod redakcją Dawida Juraszka

Autorzy: Krzysztof Kochański, Hanna Fronczak, Przemysław Hytroś, Iwona Kowalczyk, Przemysław Karbowski, Stanisław Truchan, Maciej Żytowiecki, Dawid Juraszek.

Gdyby babcia miała wąsy, czyli antologia historii alternatywnych.

Co by było, gdyby było inaczej, niż jest? Historie alternatywne to doskonała pożywka dla wyobraźni i niezły sposób na odreagowanie niepowodzeń jednostek i zbiorowości. Bo przecież gdyby wtedy, dawno temu, coś potoczyło się inaczej, to dzisiaj wszyscy byłiby zdrowi, bogaci i szczęśliwi. Albo i nie...

Niedoczekanie... Od alternatywy na parę, przez gwiazdnych wojowników i nieśmiertelne dynastie, po kolonializm na odwrót – antologia ośmiu historii alternatywnych z podniesionym czołem odpowiada na pytanie: co by było gdyby?

Antologię „Niedoczekanie” promuje opowiadanie „Parowy Hycel”. Kto parą wojuje, od pary ginie! Krzysztof Kochański bierze na warsztat fascynującą konwencję steampunku i brawurowo nadaje jej autorski szlif godny kunsztu weterana polskiej fantastyki. W świecie na pozór rodem z pozytywistycznych powieści wiek pary i elektryczności okazuje się być wiekiem pary, mechaniki, chemii i... zmysłowości!

BIERZ MNIE

antologia opowiadań zmysłowych pod redakcją Dawida Juraszka

Autorzy: Istvan Vizvary, Katarzyna Kowalewska, Stanisław Truchan, Katarzyna Uznańska, E. M. Thorhall, Grzegorz Piórkowski, Joanna Maciejewska, Bartłomiej Dzik, Radosław Lewandowski, Dawid Juraszek

Cielesne uciechy, gorące spojrzenia, złamane serca.

Ludzie pióra płci obojga kochają nie tylko książki, i nie z samej jedynie literatury czerpią rozkosz – są przecież przede wszystkim kobietami i mężczyznami. Autorki i autorzy niniejszej antologii spędzili oto dziewięć śmiałych opowiadań o tym, co najbardziej ludzkie, choć często i obce, dla czytelniczek i czytelników otwartych na nowe doznania.

Przeszłość, terażniejszość i przyszłość łączą się tu z miejscami bliskimi i dalekimi, nauka i magia z intymnością i pożądaniem, a piękność z potwornością; egzotyka splata się ze swojskością, subtelność z dosadnością, a miłość z seksem.

Z tego mariażu narodził się zbiór pobudzający zmysły i podniecający wyobraźnię, ale też dający do myślenia – nie tylko w długą, bezseną noc.

DO DIABŁA Z BOGIEM

antologia opowiadań fantastycznych pod redakcją Dawida Juraszka

Autorzy: Grzegorz Piórkowski, Bartłomiej Dzik, Stanisław Truchan, Hanna Fronczak, Karolina Cisowska, Anna Dominiczak, Paweł Ciećwierz, Joanna Maciejewska, Istvan Vizvary, Dawid Juraszek

Opium dla ludu w 10 odstępach.

Do diabła z bogiem... Ale którym bogiem? Do jakiego diabła i po co? Dziesięciu autorów tej fantastycznej antologii odpowiada na dziesięć różnych sposobów – nigdy jednak na klęczkach.

Czy pisarze zajmujący się fantastyką mogą pisać o religiach? Zbiór opowiadań, który prezentujemy, dowodzi, że nie tylko mogą, ale powinni! Efekt konfrontacji wiary z rozumem, przeszłości z przyszłością, magii z fantazją może Was zaskoczyć. I prędzej czy później niektórzy z was dojdą do wniosku, że to wszystko jest... fikcją.

W zbiór wprowadza opowiadanie „Kismet”. Tam, gdzie zawodzi zdrowy rozsądek, i cuda przestają być łatwe do wyjaśnienia, o wiele łatwiej popaść w fanatyzm, i zatracić się w szalejącej wojnie. Gdy pojawiające się znikąd anioły potrafią w mgnieniu oka spopielić całą wioskę, ciężko jest pozostać przy starej wierze. Sceptycznie nastawiony żołnierz, z nieco mniej sceptycznymi podkomendnymi, zostaje wysłany, żeby zbadać te cuda. Nie wie jeszcze, iż nie będą to zmagania z kwestią wiary, którą mamy w sercu. Wręcz przeciwnie.

Agnieszka Hałas: PO STRONIE MROKU

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną maszynę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojownicza Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieże zaświatów, od średniowiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

ŚWIATY RÓWNOLEGLE

antologia opowiadań fantastycznych

Autorzy: Małgorzata Binkowska, Katarzyna Rupiewicz, Szymon Gonera, Katarzyna Kubacka, Michał Cholewa, Helena Strokowska, Marcin Pawełczyk, Andrzej Trybuła, Iwona Surmik, Anna Głomb, Anna Kańtoch

Sekcja literacka SKF w akcji.

Jaki los czeka małą dziewczynkę i jej ojca osamotnionych w postapokaliptycznym zimowym świecie? Czy genetycznie udoskonalony detektyw rozwiąże sprawę brutalnych morderstw? Co wydarzyło się na L'Isle d'Escargot, jak kończy się przywołanie ducha Chopina i kim naprawdę jest syn śląskiego alchemika, który od najwcześniejszego dzieciństwa ma wrażenie, że wszyscy prócz niego żyją z jakąś straszną tajemnicą?

W „Światach równoległych” znajdziemy opowiadania zarówno autorów znanych i nagradzanych, jak i debiutantów. Znajdziemy SF twarde i humorystyczne, grozę, groteskę, kryminał oraz fantasy w różnych odcieniach. Wszystkie te teksty łączy jedno – udowadniają one, że jeśli szukać gdzieś literackich talentów, to przede wszystkim w Śląskim Klubie Fantastyki.

Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU

„Struny czasu” opisują zmagania kilkudziesięcioosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści „Yggdrasil. Exodus”.

Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, tomy I, II, III i IV

„Jedwab i porcelana” to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zмага się z własnymi demonami i samym sobą. „Jedwab i porcelana” to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów: „Biały tygrys”, „Niebieski smok”, „Czerwony ptak” i „Czarny żółw”.

Dawid Juraszek: CAIREN. DRAPIEŻCA

Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen!

Dziesięć wartkich opowiadań. Dziesięć orientalnych przygód z prężeniem mięśni i przymrużeniem oka. A w nich bez liku zaginionych cywilizacji, walnych bitew, powabnych dziewczek, groźnych monstrów, magicznych sztuk, starożytnych grobowców, literackich nawiązań, i czego tam jeszcze.

Pośród szczęku mieczy, szabli, koncerzy, sztyletów, kindżałów, puginałów i handzarów, jęku cięciw, bająć mędrców i westchnień rozkoszy... W ociekających przepychem pałacach Czungii, przedwiecznych ruinach miast Goryo, podmorskich grotach potworów Nipponii, przybytkach zmysłowych uciech Syamii... Ramię w ramię i twarzą w twarz z Mengutami, Tuerami, Malajami, Jugurami, Manczami i Parsami... Przez spienione grzywacze Oceanego Morza, niezgłębione dżungle Kmerii, śnieżne pustkowia Xybelii, monsunowe ulewy Czamby... Wszędzie tam, bez zbytej rewerencji dla chanów, szejków, cesarzy, kalifów,

sułtanów, królów, szachów, szogunów czy maharadzów, dumnie, butnie i zuchwale kroczy CAIREN!

Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

„Znajda” to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Gdy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści terażniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

Maciej Żytowiecki: SZUJE, MĄTWY I STRACENICY

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszкана przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo stracenci.

Maciej Żytowiecki: MÓJ PRYWATNY DEMON

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria morderstw. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

Marek Hemerling: PILLON I SYNOWIE

Reguły gry zostały ustalone dawno temu przez założyciela firmy – Dominika Pillona. Testament określał je bardzo precyzyjnie. Pillon i synowie. Jego synowie. Niektórzy już odeszli, niektórzy jeszcze się nie urodzili, czekając spokojnie na swoją szansę w bezpiecznych objęciach niskich temperatur. Filip jest po prostu jednym z nich – młodszym Pillonem, Pillonem w fazie szkolenia. Wychowany przez zastępczą matkę, pod czujną, choć dyskretną opieką starszych braci, nie ma jeszcze pojęcia, jaka go czeka przyszłość. Wszystko w swoim czasie.

Jego biologiczni rodzice nie żyją od ponad wieku. Założona przez ojca firma wciąż ma niezłe notowania. Życie bez zbędnej filozofii toczy się normalnym rytmem. Bracia trzymają rękę na pulsie. Dbają o własny interes, realizując przy okazji testament Dominika Pillona.

Tymczasem Łagodny Olbrzym wciąż drzemał ukryty w cieniu Dominium...

Konrad T. Lewandowski: MOST NAD OTCHŁANIĄ

Osobliwy świat, gdzie ruch gwiazd i planet nie podlega żadnym regułom. Potężne państwo-miasto, o władzę nad którym walczą dwa stronnictwa. Doskonały styl sprawia, że czytelnik wyrusza wraz z autorem w podróż niezwykłą, daleko i blisko jednocześnie. Bo choć tam, gdzie toczy się akcja, nic nie jest takie samo, to jednocześnie wszystko wygląda jakby znajomo... przynajmniej jeśli chodzi o ludzkie motywacje, pragnienia bohaterów i nieuniknioną logikę dziejów.

Powieść epicka i kameralna zarazem, fantastyczna i uniwersalna, gdzie w walce między ludźmi i ideami nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje stronom konfliktu, a racja jak zwykle leży gdzieś pośrodku, gdzieś wysoko ponad nimi... A może gdzieś nisko, tam, gdzie nie sięga nawet Otchłań?

Polityczne i religijne rozgrywki toczyły się poza Andremilem. Jak każdy potomek Starych Rodów ukończył Akademię wojskową, ale z tą starą tradycją nie łączyły się żadne obowiązki. Do armii garnęło się dość nuworowsy i zubożałych mieszczan, żeby synowie arystokratów mogli spokojnie zajmować się winem, niewolnicami i poezją. Andremil, któremu ojciec kupił patent oficerski, nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał walczyć naprawdę! Aż tu nagle przyszedł rozkaz od doży wysyłający niedoświadczonego porucznika w pole. Co się kryło za tą zaskakującą decyzją? Młodzieńca poraził strach. Jeszcze wczoraj był na balu, a teraz czekała go walka, w której najpewniej zginie. Jak postąpi Andremil? Wykaże się odwagą i przebiegłością czy zapomni o honorze, byle uratować życie?

Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmacną nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

Aleksander Kowarz: RYDWAN BOGÓW

Fotoreporter, dwoje egiptologów, franciszkanin i nie taka całkiem zwyczajna turystka zostają przez przypadek towarzyszami niezwyklej podróży, która zaprowadzi ich w miejsca, o jakich nie śnili. A wszystko to za sprawą złotego skarabeusza, znalezionego w pobliżu Kazimierza Dolnego, który okazuje się kluczem do wielkiej zagadki.

Pięć tysięcy lat wcześniej w równie niezwykłą podróż wybrali się kapłan Świątyni Horusa Sefian i jego syn. Sefianowi została powierzona delikatna i ważna misja, a niepowodzenie nie wchodzi w rachubę.

Losy obu grup, choć dzielą ich tysiące lat, są ze sobą ściśle powiązane za sprawą tytułowego Rydwanu Bogów. Czym jest, dlaczego jest tak ważny i dlaczego wszyscy chcą nim zawładnąć? Piątka towarzyszy musi znaleźć odpowiedzi na te i inne pytania, aby móc wrócić do domu.

Fascynująca powieść, w której odległa przeszłość przeplata się z teraźniejszością, magia z wiarą, miłość z powinnością, a przeznaczenie z misją.